

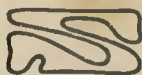
113991

I

JÓZEF BIAŁYNIA CHOŁODECKI

EPIZODY  
Z DZIEJÓW MAŁOPOLSKI  
W XIX. STULECIU

3



LWÓW  
NAKŁADEM AUTORA  
Z Drukarni Piller-Neumanna  
1920

12341/67

H II 1204

M 39 91  
I

26.10.61

5.4





## I.

### Zapomniane postacie szermierzy wolności z r. 1809.

(Odczyt wygłoszony na posiedzeniu Towarzystwa historycznego we Lwowie).

Górne, uroczne chwile przeżywała Galicja, przeżywał Lwów, w drugiej połowie maja r. 1809. Owiane nadzieją wskrzeszenia Ojczyzny szły w imię wielkiego cesarza Francuzów, bitne wojska polskie pod komendą ks. Józefa Poniatowskiego zwyciężkim pochodem w głąb zaboru austriackiego, zrzucały dwugłowe orły Habsburgów, wydawały płomienne odezwy, wzywały ludność do łączenia się, do formowania pułków pod znakami niepokonanego Napoleona, zbawcy uciśnionych narodów...

Trzech polskich ułanów zajęło Żółkiew, po ustąpieniu z miasta austriackiego generała Kesslera z kilkuset podkomendnymi i 4 armatami, szesnastu kawalerzystów zaś z porucznikiem Starzyńskim na czele objęło w posiadanie, 27 maja, Lwów, z którego wyniosły się kilka dni przedtem zastępy nieprzyjacielskie.

Cóż dziwnego, że wobec tego rodzaju sukcesów nie miał zapał mieszkańców Lwowa

ni dość granic w radości, ni dość upojenia w szczęściu, że ludność wybiegała, hen! daleko za miasto ku zbliżającym się hufcom narodowym, że starcy stali im błogosławieństwo, młódź stawiała do szeregu, kobiety polskie uścielały kwiatami drogę, rzucały wawrzyny na głowy oswobodzicieli, obejmowały w uniesieniu szyje wierszchowców, a wszyscy wznosili gromkie okrzyki pod strop wiosennego nieba.

Teodorowa Potocką, dama krzyża gwiazdzi-stego, siostra nieszczęśliwej Gertrudy z Komorowskich Szczęsnowej Potockiej\*) zdjęła na widok skaleczonego konia porucznika Starzyńskiego szal z swoich ramion i owiązała nim krwawiącą ranę zwierzęcia.

Takim był patriotyczny entuzjazm wśród murów Lwowa przed stu przeszło laty!

W lot poczęły obwody, z stolicą Galicji na czele, formować pod orłami Napoleona oddziały piechoty i kawalerji, a na kresach w Stanisławowskiem i w części Podola chwycili rodacy za broń, potworzyli lotne drużyny, atakowali regularne wojska austriackie.

Dziarski ułan Jaszczułd nazwiskiem, posuwał się w swej zuchwałej brawurze tak daleko, iż w pobliżu Tarnopola przemknął się sam jeden w głąb obozu austriackiego, dotarł do namiotu komendanta, porwał go z łóżka i wyніósł poza obręb straży i wydet niemieckich.

Nie tylko z samymi Austriakami byli atoli zmuszeni Polacy u wschodnich kresów staczać krwawe zapasy. Walczył tam z nimi inny, wewnętrzny, ukryty nieprzyjaciół, walczyły oddziały, zorganizowane przez Ignacego Brunsteina, właściciela Zaleszczyk, Uhryńkowiec i Podhorzec.

Już w r. 1793 poczęli Brunsteini zasługiwać się rządowi austriackiemu, objęli podczas wojny z Turcją prowiantowanie armii, dostarczali remonty, prowadzili później przez długie

---

\*) Marji z poematu Antoniego Malczewskiego.

lata swój handlowy interes tak z Austrią jak i z Bawarią, a wzbogacając się szybko w czasie wojen Napoleońskich składali skarbowi państwowemu dary w formie paszy, zboża, koni i brzęczącej monety. W r. 1805 otrzymała Austria za pośrednictwem Arona Brunsteina żywy inwentarz z Rumunii, poczem nastąpiły skomplikowane rozrachunki, jakie w kilkadziesiąt jeszcze lat później przeszły na potomków Brunsteinów-Brunickich\*).

Otóż nadmieniony Ignacy Brunstein nie dość, że uformował w r. 1809 własnym kosztem oddział 25 ochotników, zwerbował ich dla austriackich szeregów, pokrył kosztą umundurowania, płacił im dodatki wojenne i zapewnił zaopatrzenie po ukończonej kampanii, nie dość że złożył w darze austriackiej armii 200 cetnarów mąki i dostarczył bezinteresownie drzewa, ale co więcej utrzymywał podczas zapasów wojennych w Galicji wschodniej własnym sumptem szpiegów, odbierał za ich pośrednictwem wiadomości i ułatwiał tem „c. k. wojsku” sformowanie sił obronnych i ochronienie cyrkulów Zaleszczyk, Stanisławowa, niemniej Czerniowiec „przed napadem i plondro-

---

\*) W nagrodę położonych zasług otrzymał Ignacy Brunstein, za opłatą taksy, z rąk króla bawarskiego w dniu 3 maja r. 1813 tytuł barona, z herbem lwa z różą, a przy zmianie nazwiska na Brunicki. Nazwisko to zostało wypożyczone od szlachty z Sandomierskiego, o której znajdujemy wzmiankę pod r. 1648. Rząd rosyjski do którego należała „obłasc” Tarnopolska” uznał to nadanie króla bawarskiego. Po powrocie tej obłasci w granice państwa Habsburgów ubiegał się Brunstein-Brunicki o potwierdzenie — naturalnie po uiszczeniu odpowiedniej należności — baronostwa bawarskiego i nadanie mu baronostwa austriackiego. Długo trwały w tym kierunku jego i jego potomków zabiegi, przechodziły różnorodne fazy i dały powód do zarzutów przekupywania urzędników gubernialnych we Lwowie, a także i dygnitarzy w Wiedniu. Ostatecznie uzyskali Brunicy w dniu 10 grudnia r. 1852 spełnienie swych marzeń.

Młodsze pokolenie rodu tego zalicza się do pocztu patrijotycznych obywateli Polski.

waniem" ze strony polskich oddziałów. Podczas cofania się Polaków rozbrajał przy pomocy swych poddanych oddziały powstańcze i oddawał „c. k. wojsku“ odebrane konie i broń. Komenderujący generał Hiller wystawił mu też „świetne świadectwo o jego przychylności dla monarchy i rządu“.

Tak opiewały wynurzenia Ignacego Brunsteina wysyłane do tronu cesarskiego.

Nie dziw, że wśród tego rodzaju stosunków nie mogła rozwijać się należycie akcja kresowych oddziałów polskich, nie dziw, że wielu uczestników partyzantki popadało w ręce wojsk austriackich, które postępowały z całą bezwzględnością.

W dniu 15 lipca r. 1809 zapadł w Podhajcach wyrok śmierci przez powieszenie przeciw podejrzanemu o szpiegostwo Iwanowi Hawryle z Łuczyniec obok Rohatyna majątności Sokulskiego. Chłopa tego wysłał był za interesem do komendanta stacjonowanych w Brzeżanach powstańców, niejaki Nowicki, rządca dóbr Bilińskiego.

Przewodniczył sądowi doraźnemu kapitan qua-major Probst von Frankenstein, oskarżał i referował sztabowy audytor Haymerle Wobec braku kątą nie powieszono skazanego, lecz go rozstrzelano.

W dwanaście dni później stawiono przed sąd doraźny w Tłumaczu liczny zastęp powstańców, którzy należeli poprzednio do składu armii austriackiej, a zostali pochwytni z bronią w ręku częściowo obok Marjampola, częściowo zaś obok Podpieczar koło Tyśmienicy.

Do pocztu pojmany należeli: porucznik Jan Lipczyński, podoficerowie: Grzegorz Alexiwo\*), Bazyli Brylański i Wincenty Świderski, tudzież szeregowcy: Albin Beskowski, Piotr

---

\*) W niemieckich spisach skazanych poprzekręcane tak niemilosierźnie nazwiska, iż trudno często-kroć odgadnąć ich właściwe brzmienie.

Biegoszewski, Wojciech Bilik, Józef Bogdanów, Adam Borcik, Grzegorz Broszewski, Jan Brzeziński, Onufry Chwałędycz, Kazimierz Dąbrowski, Andrzej Dobrzański, Józef Gajewski, Jan Galicki, Hiob Gorazdowski, Jan Gudziński, Tomasz Hebdaszewski, Marcin Izdebski, Kasper Jamniuk, Paweł Janusz, Franciszek Jarek, Jan Kobiadźewicz, Ignacy Korzeniowski, Jan Kruzelnicki, Jakób Krzyżanowski, Piotr Krzyżanowski, Kasper Krzyżowski, Grzegorz Kulczycki, Franciszek Łukaszewski, Jan Machnicki, Wasyl Mironiak, Mateusz Mirosławski, Antoni Neywart, Józef Obocz, Filip Olszewski, Bazyl Parot, Adam Pietruszka, Marcin Pitlewicz, Andrzej Pakorowy, Hawryło Patnik, Wojciech Poznański, Bazyl Przemysz, Jan Rybaczków, Iwan Sejmiuk, Jan Skaniowski, Jakób Sowarski, Mateusz Szeligowski, Grzegorz Szeremeta, Jacko Sześciń, Hnat Szewczuk, Andrzej Tymkiewicz, Stefan Walczyk, Jan Wiśniewski, Jakób Woźniak, Józef Zembik, Jan Zieliński, Jan Zober, Andrzej Zygmunt i Jan Żebrowski.

Pod przewodnictwem Gerarda oskarżał i referował sprawę ten sam, co poprzednio sztabowy audytor Haymerle i skazał wszystkich „dla odstrasżającego przykładu“ na karę śmierci przez rozstrzelanie.

Samemu nawet generałowi Merveldtowi wydał się ten wyrok za surowym. Rozstrzelanie naraz 62 ludzi, poza którymi stała w oddale- niu groźna postać Napoleona, mogło wywołać przykre konsekwencje, kazano więc winnych tylko dziesiątkować, a z wylosowanych sześciu rozstrzelać jedynie dwóch, których nazwiska wskaze ponowne ciągnięcie losów.

W skład grupy sześciu weszli Beskowski, Dobrzański, Machnicki, Mironiak, Świderski i Zembik, z których Mironiak i Zembik oddali ostatecznie swe życie za sprawę narodową.

Pozostałych sześćdziesięciu wcielono w szeregi austriackiej armii, lecz jakkolwiek uratowali życie z ciężkiej opresji, nie były bezsprzecznie usłane różami dalsze lata ich służby wojskowej.

Równocześnie z doraźnym procesem przeciw 62 wymienionym, a sądząc podług nazwisk, należącym w znacznej części, do sfer inteligentnych, powstańcom miał miejsce krwawy wyrok, jakiego ofiarą padł 22-letni młodzieniec, nie należący wówczas już wcale do czynnej austriackiej armii. Był nim Jan Kopystyński szlachcic rodem z Halicza. Pełnił on poprzednio jako kadet przez lat 6 służbę w pułku ułanów im. ks. Schwarzenberga i został przed opisaniem wypadkami dziejowemi zwolnionym na własne żądanie ze składu armii w charakterze kadeta-wachmistrza. Pod koniec czerwca r. 1809 wstąpił w czeregi wojska polskiego w randze porucznika, w dniu 23 lipca zaś został schwytany z bronią w rękę w Miketyńcach obok Stanisławowa.

Ówczesny system austriacki uważał każdego byłego żołnierza jako podpadającego i nadał pod dyscyplinę wojskową, to też i w motywach wyroku wydanego przeciw Kopystyńskiemu w dniu 28 lipca 1809 podniesiono wyraźnie, że dopuścił się zbrodni „pomimo iż służył poprzednio w wojsku”. Wyrokowali znów Heymerle i Gerard, zatwierdził wyrok śmierci Merweldt. Wykonano go w trzy godziny po ogłoszeniu tj. o 1 z południa.

W dniu 9 października r. 1809 o godzinie 11 przed południem rozstrzelano w Stanisławowie Antoniego Falkowskiego rodem z Wilna na Litwie wieku lat 26, szeregowca wschodnio galicyjskiego batalionu ochotników z pod komendy kapitana Harnischa. Zarzucono mu, iż namówił do dezercji na rzecz nieprzyjaciela kolegów broni Gabryela Minczuka, Józefa Grabowskiego, Onufrego Terleckiego i Andrzeja Broszka.



O przebiegu wszystkich powyższych wypadków pouczają nas omszone akta urzędowe, tak wojskowe jak i polityczne.

Dziś gdy naród polski święci chwile odrodzenia, gdy społeczeństwo odświeża w pamięci czyny i nazwiska bohaterów z epoki półtorawiekowej martyrologii swojej, godziwą i słuszną rzeczą jest postawić przed oczy potomnych postacie owych skromnych, cichych, zapomnianych, nieznanych zresztą ogółowi, a dobrze zasłużonych Ojczyźnie bojowników z r. 1809.

## II.

### Pan asesor Bobiatyński.

(Z najtajniejszych — g. g. g. — aktów Gubernium lwowskiego.)

Zgniółszy w zarodku ruch partyzantów z pod komendy pułkownika Józefa Zaliwskiego, nie zadowolili się rząd rosyjski wyrokami śmierci, wykonanemi na 26 pojmanyh dowódcach oddziałów i ich podkomendnych, nie zadowolili się zeznaniami, wymuszonymi przy pomocy tortur na tychże ludziach, lecz usiłował zajrzeć do głębi tajników śledztwa karnego, jakie toczyło się przeciw Zaliwskiemu i współnikom we Lwowie. Potężny zastęp więźniów w lwowskim kryminale, protokoły spisywane z nimi pod wpływem udręczeń, w niepoczytalnym nieraz nawet stanie, rokowały obfity plon do wyszukiwania i odkrywania nici tajnych sprzysiężeń także pod zaborem rosyjskim. Zresztą chciał rząd rosyjski wejść w postępowanie władz austriackich, w szczerość ich wobec interesów Rosji, w ducha i usposobienie społeczeństwa polskiego w Galicji, w końcu wyrzucić nacisk na tok spraw w śledztwie karnem. Pod koniec r. 1833 zaproponował car

Mikołaj cesarzowi Franciszkowi wysłanie w interesie obu państw do Lwowa komisarza rosyjskiego, a gdy arcyksiążę Ferdynand d' Este, jako gubernator Galicji, zgodził się na propozycję<sup>1)</sup> zjechał niebawem do Lwowa z Warszawy kolegialny asesor, radca I. Bobiatyński i rozpoczął swe urzędowanie. Warunkiem było, aby delegat Rosji przebywał we Lwowie zupełnie *incognito*, a to w interesie nie tylko spokoju i bezpieczeństwa publicznego, ale także i w interesie bezpieczeństwa jego własnej osoby. Salwując niewinnych poddanych obcego mocarstwa rozporządził przytem cesarz Franciszek, iżby nie dozwalano Bobiatyńskiemu wglądu w te akta karne, które mogą kompromitować bezpodstawnie obywateli państwa rosyjskiego<sup>2)</sup>).

Przyjechawszy do Lwowa, złożywszy oficjalne wizyty i swą legitymację w gubernium, najął Bobiatyński w charakterze skromnego przybysza pomieszknięcie z usługą za cenę miesięczną 5 dukatów, umówił się z mleczarką o dostawę nabiału i cicho bez zwracania na siebie uwagi, nie udzielając się nikomu, nieznany nikomu, zabrał raźnie do pełnienia poruczonej mu misji.

W tym celu porozumiewał się ustawicznie z gubernialnym prezydentem, baronem Franciszkiem Kriegem von Hochfelden i z kierownikiem procesu politycznego radcą kryminalnym Maurycym Wittmannem, tłumaczył rosyjskie pisma na polski język<sup>1)</sup>, wglądał w akta śledcze, bierał wyciągi i wypisy, staczał walkę gdy spostrzegł, iż jakąś część aktów śledczych zachowano w tajemnicy, a ponadto śledził, szpiegował mieszkańców Lwowa, zwłaszcza zaś wychodźców z pod zaboru rosyjskiego, i marzył o uznaniu, awansie, zaszczytach i or-

---

<sup>1)</sup> Akt gubernialny L. 1383/g. g. g. z 5 grudnia 1833.

<sup>2)</sup> Reskrypt apelacji L. 72/pr. z 12 marca 1834.

<sup>1)</sup> Akt L. 517/ggg z r. 1834.

derach państw zaprzyjaźnionych. Br. Krieg cenil w Bobiatyńskim nietylko „sługę i delegata zaprzyjaźnionego mocarstwa“, ale także — jak się w jednym z listów wyraził — „szczerze wiernego swemu rządowi urzędnika“, obdarzał go więc od pierwszej chwili poznania uczuciem sympatji, uważał za swego osobistego przyjaciela.

Taki stan rzeczy trwał do końca r. 1834.

W pierwszych dniach stycznia roku następnego zauważył Bobiatyński zmianę w swym fizycznym stanie, przeczuł zbliżającą się niemoc. Przerażony nietylko o własne zdrowie i życie, ale i o los zdobyczy całorocznych trudów i zabiegów, zwierzył się z swego spóstrzeżenia br. Kriegowi i oddał mu do przechowania, papiery, zapiski, notatki i dokumenta, jakich sporą ilość miał nagromadzoną w pomieszkaniu. Niebawem, gdyż już w dniu 18 stycznia r. 1835 nastąpiła katastrofa; silne uderzenie krwi do głowy, objawy zapalenia mózgu, zwiastuny pomieszania zmysłów. Mającąc w gorączce zdradził asesor swą obawę, swój tajony przedtem strach przed szpiegowaną przez niego ludnością, przed wychodźcami, a wyrzuty sumienia zajęły wyraźnie miejsce wśród zjawisk zamąconego umysłu. Płół więc bez przerwy o planowanych na niego zamachach, o sztyletach, o truciznie i czynił zeznania, wynurzenia, spowiedź, z której nie trudno było otoczeniu domyśleć się, kim on właściwie jest. w jakim celu przyjechał i co we Lwowie działa.

Strapiony br. Krieg wysłał w ciągu 24 godzin tajną relację<sup>2)</sup> o wypadku do namiestnika Królestwa, księcia warszawskiego Jana Paskiewicza, z nadmienieniem, że wszelkie obawy atentatów na Bobiatyńskiego są wykluczone, zwłaszcza, że dotąd kilku zaledwie i to nader

---

<sup>2)</sup> Pismo L. 63/ggg z 19 stycznia 1835.

zaufanym osobom znanym był cel pobytu kolegiálnego asesora.

Usiłując wyrwać mającego w gorączce z rąk obcych ludzi, nakłaniano go, aby zgodził się na przewiezienie do powszechnego szpitala, gdzie otrzyma osobny pokój, wszelkie wygody, opiekę zaufanych osób, co główna zaś, pierwszorzędnych powag naukowych miasta i kraju. Wszelkie wysiłki Kriega rozbijały się atoli o upor chorego, który bronił się zawzięcie przeciw zabieraniu go z jego prywatnego mieszkania, mniemał bowiem, iż jest tutaj bardziej salwowanym przeciw atentatom, aniżeli w publicznym szpitalu. Nie chcąc stosowaniem przymusowych środków wywoływać sensacji w mieście i pogarszać stan zdrowia chorego, odłożono na razie sprawę, aż do dogodniejszej chwili. Pacjent uspokoił się był wprawdzie po pierwszym ataku, uległ atoli rychło jeszcze silniejszemu szałowi, wyskakiwał z łóżka, wybiegał z pomieszkania ku górnym ubikacjom, tak iż tylko nieprzerwana opieka, i energia nadzoru chroniły go przed katastrofą.

Odstawiono nareszcie Bobiatyńskiego wieczorem dnia 24 stycznia do szpitala, gdzie zapowiedziała prognoza lekarska długą a ciężką chorobą.

W chwili poczytalności przyznał się asesor przed odwiedzającym go Kriegem, iż brak mu środków materialnych. W mieszkaniu znaleziono zaledwie kilka „cwancygierów“, a tu wyczekiwały pokrycia czynsz najmu, należytość mleczarki, honorarja lekarskie, rachunki apteki i koszta szpitalne. Pokrył, co było pilniejsze, Krieg z własnych funduszków i zażądał od Paskiewicza przysłania odpowiedniejszej kwoty na potrzeby chorego, „kwoty tem wydatniejszej, iż Bobiatyński będzie musiał z chwilą polepszenia zdrowia opuścić granice kraju“, gdzie powstało już ogólne oburzenie na machinacje obu zaprzyjaźnionych rządów.

Nadzieja poprawy stanu zdrowia znikła tymczasem z dnia na dzień wobec wzmagającej się manii prześladowczej. Chory począł podejrzawać najwierniejszego nawet swego przyjaciela, Kriega, i przyjął z nieufnością kolegialnego sekretarza Duszyńskiego, gdy tenże zjechał z Warszawy do Lwowa 17 lutego r. 1835 za paszportem, otrzymanym w charakterze kupca, i przywiózł z sobą znaczną sumę pieniędzy.

Zadaniem Duszyńskiego było przewieźć Bobiatyńskiego wraz z papierami do Werszawy. Papiery znajdowały się pod pieczęcią Bobiatyńskiego w rękach Kriega, inne rzeczy chorego zaś były złożone częściowo w szpitalu, częściowo w policji, częściowo zaszyte w sienik i opieczętowane w skrzyni. Wyrównawszy zaległości w łącznej sumie 47 dukatów i ukończywszy przygotowania do podróży uwiadomił Duszyński chorego o zamiarze zabrania go z sobą do kraju, natrafił atoli znowu na tak stanowczy i gwałtowny opór, iż musiał odstąpić od projektu. Wyczekiwał więc przez dwa miesiące polepszenia zdrowia Bobiatyńskiego, wyczekiwał stosowniejszej chwili, do rozpoczęcia z nim podróży, kompletował tymczasem papierski, notaty i akta. ostatecznie wyjechał w dniu 24 kwietnia 1835 sam, bez kolegi, ze Lwowa, wioząc księciu warszawskiemu niepomyślną relację o losie „wernego sługi rządu“.

Pomieszanie zmysłów potęgowało się w dalszym ciągu słabości, mania prześladowcza, przemieniła się w manię wielkości. Bobiatyński plótł o olbrzymich skarbach, jakie posiada, mienił się być potężnym władcą Królestwa, z drugiej strony zaś bronił się przeciw kuracji. odpychał każde lekarstwo, tak, iż znikła zupełnie nadzieja wyleczenia go z umysłowej niemocy. Zarząd szpitala dostarczał jak najlepszego wikt, a do nadzoru nawiedzonego szaleńca dwóch przeznaczył ludzi..

Z początkiem listopada 1835 otrzymał Krieg rachunki półrocznych należności szpitalnych i bez namysłu pospieszył z mocy swego stanowiska zarządzić wydatną redukcję policzonych opłat. W pierwszym rządzie skreślił w wykazie honorarjum drugiego dozorczy, następnie koszta z tytułu „lepszego wikt“, zarazem nakazał zarządowi szpitala z góry, trzymać się przy składaniu dalszych rachunków, powyższych wskazówek.

Zdając Paskiewiczowi sprawę o poczynionych zarządzeniach, nadmienił Krieg iż z nadjeściem zimnej pory roku wypadałoby przewieźć Bobiatyńskiego do zakładu obłąkanych w Warszawie, i wydelegować w tym celu, urzędnika jako kierownika podróży, lekarza i dwóch „silnych“ dozorców, dodał jednak zarazem, że przewiezienie to mogłoby odbyć się jedynie przy zastosowaniu środków gwałtownych i nie bez obawy o pogorszenie stanu zdrowia asesora, Bobiatyński bowiem nie daje się nakłonić nawet do tego, aby wyjść z pokoju i wsiąść do powozu.

Jest to ostatnia relacja, dotycząca „pana kolegialnego asesora“, jaką znaleźliśmy w prezydjalnych aktach lwowskiego gubernium. Wypływa z niej dowodnie, iż pobyt Bobiatyńskiego w stolicy Galicji wiele dostarczył rządowi rosyjskiemu ofiar, wielu Polakom ciężką zgotował dołę.

Nadzieje uznania, awansu, zaszczytów i orderów zstąpiły razem z Bobiatyńskim do grobu...

Pokorną zaprawdę służkę znachodziła zawsze Rosja w naddunajskiej stolicy!

## III.

## OO. Bernardyni więźniami stanu.

Od początku istnienia w Polsce (r. 1453) Zakonu braci mniejszych obserwantów reguły św. Franciszka Serafickiego, cechowała OO. Bernardynów dzielna walka słowna, staczana z zwolennikami husyckich nowinek zachodu, i z pogańską wiarą wyznawców Mahometa, ponadto zaś gorąca miłość Ojczyzny, jaka znajdowała wyraz, zwłaszcza podczas napadów hord tatarskich i kozackich na wschodnie kresy Rzeczypospolitej. Iluż to zakonników poniosło wtedy świątobliwą śmierć męczeńską, iluż to padło na posterunku duchownych obowiązków, gdy mór i głód poczęły coraz to częściej nawiedzać zawieruszone potopem wojny Piastów i Jagiellonów dzielnice.

Nie brakło zresztą i takich mnichów, którzy z krzyżem w jednej, a orężem w drugiej dłoni stawali do obrony przeciw nieokiełzanemu najeźdźcy. Mamy na myśli bahaterskie zapasy oblężonego Lwowa w latach 1648, 1655 i 1672. W owych to czasach oddawał obronny kompleks gmachów OO. Bernardynów, wraz z ginącymi bohaterską śmiercią zakonnikami niepospolite przysługi miastu i całej Rzeczypospolitej.

Opiekuńcze skrzydła jaśniejącej w przestwożu postaci bł. Jana z Dukli nie dozwoliły zdobyć, choćby przelotnie, ufortyfikowanych murów klasztornych.

I przeminęło sporo lat od owych ciężkich chwil mordów i pożogi i zniknął pod naciskiem przemocy samoistny byt Rzeczypospolitej, nie zniknął, nie wygasł jednak duch patriotyczny w głębi murów klasztoru OO. Bernardynów. Klasztor ten cechowała i nadal gorąca miłość Ojczyzny, i ona to wskazywała im drogi i środki do służenia narodowej sprawie.

Teraz w trzechsetną rocznicę konsekracji lwowskiej świątyni zakonu tego, niechaj nam wolno będzie sięgnąć w głębinę mogił i przedstawić przed oczy czytelnika cztery postacie Ojców, zapisanych chlubnie na kartach martyrologii narodu polskiego. Byli nimi księża Loetus Mozler, Jan Kanty Skoczylas, Bernard Bulsiewicz i Justyn Szaflarski.

### O. Loetus Mozler.

Wypadki, jakie rozgrywały się z wiosną r. 1833 na ziemiach Polski gorączkowały rządy trzech mocarstw rozbiorowych, a echo rewolucyjnych prądów na zachodzie, wzniecało równocześnie obawę gwałtownego, krwawego przewrotu w łonie społeczeństwa. Ztąd też drżały władze za łada świeżą, a groźną nowiną, ztąd też przesadzały w swych podejrzeniach i zarządzeniach, idąc nieraz na lep pierwszemu lepszemu denuncjantowi.

Tego rodzaju wypadek miał miejsce na skutek alarmującej odezwy rosyjskiego generała Pankratiewa, wysłanej z Warszawy 10 marca 1834 do prezydenta Gubernium we Lwowie barona Kriega von Hochfelden, iż jeden z wydanych władzom rosyjskim wychodźców zdradził plan emisariusza Zygmunta Gordaszewskiego zorganizowania oddziału z 300 powstańców w celu zaatakowania i zajęcia twierdzy Zamościa, a w dalszem następstwie w celu zgładzenia dygnitarzy państwa rosyjskiego za pomocą igiełek, napojonych delikatną trucizną, a ciskanych wynalezionym świeżo przyrządem z odległości kilku lub kilkunastu kroków. Obowiązek zaprzysiężenia spiskowców miał wedle brzmienia powyższej odezwy przyjąć na siebie ks. Loetus Mozler członek OO. Bernardynów we Lwowie.

W lot zarządziły władze austriackie surowe śledztwo przeciw młodemu kapłanowi, jakim był wówczas ks. Mozler.



Urodzony w r. 1807 w Tarnowie uzyskał on święcenia kapłańskie w r. 1832 i pełnił obowiązki kaznodzieji, katechety i kooperatora przy boku zawiadowcy parafii św. Andrzeja O. Romana Józefowicza. Gorący patriota, stanowczy i energiczny, wyborny kaznodzieja. porywał za sobą słuchaczy, zdobył odrazu mir i ogólną sympatię społeczeństwa.

Nagle spadło na niego brzemie odpowiedzialności wobec władz rządowych.

O wczesnej godzinie kwietniowego dnia r. 1834 ujrzał niespodzianie policyjne organa w swej zakonnej celi, które po długich i skrzętnych poszukiwaniach zakwestjonowały jedynie pisany wiersz p. t. „Krakowiak“ zaopatrzonej dedykacją:

„Wielebnemu I. M. C. I. ks. Mozlerowi  
na pamiątkę i dowód szacunku, z którym  
zawsze zostaję. *Chmieliński*“.

Trudno, zaprawdę, uwierzyć, iżby tego rodzaju niewinna dedykacja mogła służyć za podstawę do wdrożenia karno-policyjnego śledztwa przeciw człowiekowi, przeciw któremu surowa władza rządowa innego zresztą zarzutu podnieść nie umiała.

A przecież zdołała austriacka inkwizycja ukuć z niczego cały szereg podejrzeń przeciw ks. Mozlerowi.

*Primo*: Ks. Mozler musi być „fanatycznie“ oddany polskiej sprawie, skoro dedykowano mu nie inny jaki utwór, ale „Krakowiaka“.

*Secundo*: Dedykowanie „Krakowiaka“ pro-  
rokuje niejako nadzieję przyszłego powodzenia zamierzonych wysiłków.

*Tertio*: Ks. Mozler musi być „źle myślącym“ skoro Chmieliński nie tylko wręczył, ale ponadto i dedykował wiersz temu kapłanowi.

*Quarto*: Obciążającym dla ks. Mozlera zjawiskiem jest fakt, iż wiersz wręczono mu w czasie ceremonii św. chrztu, z którą to ceremonią niema wiersz nic wspólnego.

*Quinto*: „Żle myślącym“ jest ks. Mozler skoro wiersz ten przyjął zamiast go odrzucić.

Tak to umiały władze austriackie nakreślić, rozdmuchać niewinny wypadek do wielkiego zdarzenia, a gdy zabrakło, po dłuższem śledztwie, podstaw do potępiającego wyroku, gdy przeciwnie klasztor pochlebne wystawił o kapłanie wobec rządu świadectwo, rozciągnęły nad zakonnikiem ścisły nadzór policyjny i zażądały od metropolitalnego konstystorza we Lwowie iżby zastosował z całą surowością duchowną dyscyplinę i usunął go od wszelkich funkcji służbowych na tak długo, aż dostarczy dowodów poprawy i skruchy. Wobec nacisku władz przeniesiono ks. Mozlera do Rzeszowa.

Brak tego dzielnego kapłana dał się atoli rychło odczuć w lwowskim konwencie, to też już w dniu 31 marca r. 1835 widział się zniewolonym, prowincjał OO. Bernardynów ks. Pius Burdziński uwiadomić metropolitalny konstystorz, iż jest zmuszonym przenieść ks. Mozlera z powrotem do Lwowa. Gubernium, któremu przedłożono sprawę, zgodziło się wprawdzie pod naciskiem na zarządzenie ks. Burdzińskiego, postawiło atoli ks. Mozlera stale pod nadzór policyjny. W r. 1839 spotykamy tego kapłana na posterunku katechety w Gwoźdźcu obok Kołomyi i następnie przez lat 15 na stanowisku gwardjana klasztoru w Kalwarji, ostatecznie na stanowisku prowincjała i zarazem (od r. 1858 do 1863) zarządcy parafii przy kościele św. Andrzeja we Lwowie. Odznaczony niezwykłą u zakonników godnością radcy konstystorza w Przemyślu, powołany do składu Rady miasta Lwowa zmarł w Kalwarji 3 października r. 1863, gdzie też widnieje pomnik jego przy kościele Wniebowzięcia N. P. Marji. Malarz A. Nigroni wykonał w r. 1860 portret ks. Mozlera, który zawieszono w bibliotece klasztornej we Lwowie.

Podczas gdy zacny kapłan dobiegał do kresu doczesnej pielgrzymki, dolatywało go

z nad Wisły echo żwawej palby powstańczej, a młodszy bracia zakonni dążyli jego śladem do usług kruszącej okowy Ojczyzny. Pierwszym z tych braci był

### O. Jan Kanty Skoczyłaś.

Był synem mieszczańskie rodziny Sebastjana i Zofii Skoczyłaś, właścicieli realności w Żołyni, przyszedł na świat w r. 1830, otrzymał na chrzcie św. imię Tomasza, uczęszczał do pierwszych 6 klas gimnazjalnych w Rzeszowie, poczuwszy zaś powołanie do stanu zakonnego, wstąpił jako nowicjusz pod imieniem Jana Kantego do lwowskiego klasztoru Braci mniejszych obserwantów reguły św. Franciszka Serafickiego. Tutaj ukończył ostatnie dwa lata szkół średnich i wydział teologiczny, przyjął w r. 1856 święcenia kapłańskie, zasłynął rychło jako złotousty kaznodzieja ludowy i porrywał po pierwszych krwawych wypadkach wśród ulic Warszawy patriotycznym słowem liczne rzesze słuchaczy.

Pod zarzutem rozluźnienia dyscypliny klasztornej został na żądanie władz austriackich, zmuszony do opuszczenia Lwowa, przeniesiony w r. 1862 do Leżajska.

Zarządzenie to nie wyziębiało miłości Ojczyzny w głębi serca jego; rychło też znalazł i w małym miasteczku sposobność do prac narodowych, do działań na rzecz powstania styczniowego.

Niebaczny na kilkakrotne rewizje przeprowadzane przez władze rządowe w jego celi zakonnej, kroczył nadal wytrwale po obranej drodze, a chcąc uniknąć przytem dalszych szykan i mitręgi opuścił Leżajsk 26 stycznia r. 1864 i znalazł schronienie w klasztornych murach Dukli.

Poszukiwały go tymczasem władze policyjne i sądowe, zbierały dowody winy, i znalazły pierwszą podstawę do sformułowania za-

rzutów zakłócenia spokoju publicznego przy rewizji osoby uczestnika powstania Antoniego Schattauera, rodem z Czortkowa, późniejszego doktora medycyny we Lwowie, skwalifikowanego przez te władze jako adjutanta pułkownika wojsk powstańczych Karola Krysińskiego. Znalezione przy tej rewizji list, polecający Schattauera opiece rodaków, a wydany mu w klasztorze OO. Bernardynów w Leżajsku. Po nitce do kłębka. Niebawem znaleziono znów przy rewizji u Skoczylasa inne kompromitujące go wobec Austrii pisma i notatki, między innymi potwierdzenie odbioru przez powstańca Niesłuchowskiego kwoty 5 złr., korespondencję Wybranowskiego w sprawie kwatery dla partyzantów, zamówienia Krysińskiego na dostawę 50 garniturów odzienia, egzemplarze rewolucyjnego czasopisma „Ruch“, słowem, dowody żywego udziału kapłana w konspiracji, w kwaterowaniu i przewożeniu powstańców, dostarczaniu im mundurów i rynsztunku.

W dniu 4 kwietnia 1864 uwięziono i odstawiono inkwizyta do sądu karnego w Krakowie, który, podobnie jak i sąd w Rzeszowie odstąpił akta wraz z więźniem do załatwienia, urzędującym wskutek zaprowadzonego stanu obłączenia, sądom wojennym.

Po półpięta miesiąca trwającym śledztwie zapadł 20 sierpnia r. 1864 wyrok sądu wojennego w Rzeszowie zatwierdzony przez komendanta majora Wilhelma Pilatiego a skazujący księdza Skoczylasa na 8 miesięcy więzienia, co zaś za tem poszło, na wikt kazienny.

Nie opuścił swego towarzysza prac na polu duchownem, troskliwy o los podwładnych prowincjał ks. Anzelm Pizuński, lecz po otrzymaniu urzędowego zawiadomienia o wyroku i rozkazu, iż by przeniósł skazanego po odpułutowaniu kary do Gwoźdca, wystosował prośbę do Namiestnictwa o pozwolenie przewiezienia ks. Skoczylasa do Leśniowa, jako

właściwego domu poprawy, dla zakonnej braci.

Zabiegi te nie odniosły niestety pożądanego skutku; Namiestnictwo sprzeciwiło się proźbie prowincjała i udzieliło reskryptem z 23 września r. 1864 L. 14872/pr., podpisanym przez wiceprezydenta Karola Moscha, odmownej odpowiedzi.

Po odzyskaniu wolności pełnił O. Jan Kanty obowiązki magistra nowicjuszków w Leżajsku, następnie od r. 1870 obowiązki gwardjana w Sokalu, gdzie pracując gorliwie na chwałę Boga, a dla dobra pobożnych, odbudował spalony kościół i klasztor.

Złożył tam też do wiecznego snu swą głowę, w młodym stosunkowo wieku 13 kwietnia r. 1877, a wdzięczni obywatele utrwalili pamięć jego pomnikiem w klasztorным kościele.

### **O. Bernard Bulsiewicz.**

Podobnie jak O. Jan Kanty Skoczylas zachwycał patriotycznym słowem pobożnych słuchaczy także i drugi zakonnik klasztoru OO. Bernardynów, młodszy o lat sześć, ks. (Józef) Bernard Bulsiewicz rodem z Jabłonnej.

Śledzące pilnie kroki jego władze austriackie notowały skrzętnie w swej „czarnej księdze” dnie, w których wygłaszał z ambony nauki, notowały też okoliczności, wśród jakich krzepił ciepłym słowem swoich współrodaków. Zapamiętały one sobie dobrze daty kazania w świątyni Zbaraża z 26 października, 2 i 16 listopada r. 1862 dalej z 6 i 25 stycznia r. 1863 niemniej kazania, wypowiedzianego w Łozowej obok Tarnopola, zdolnego, jak twierdziły, nietylko obudzić miłość do Polski, lecz co więcej, poprowadzić lud wprost do rewolucji. Władza sądowa w Zbarażu, przed którą zdawał O. Bulsiewicz w dniu 6 stycznia r. 1863 rachunek z swych postępów, podniosła jako wielki grzech, giest ręki, skierowany ku ławkom, gdzie

siedzieli urzędnicy i żandarmi austriaccy, w chwili, gdy wygłaszając kazanie mówił o szatanach, którzy wywołali rabację chłopską w r. 1846.

Zanim zapadł wyrok za powyższe winy, wybuchło powstanie styczniowe, a ksiądz Bernard ujrzał się wśród szeregów walczących rodaków, jako kapelan komendy Leona Czechowskiego, następnie Paulina Bohdanowicza (Nieczuji), nie mniej kilku innych formowanych po kolei oddziałów.

W czerwcu bawił w Galicji, mieszkał razem z matką w Jaśle, szukał następnie ulg dla swych fizycznych cierpień u źródeł Iwonicza, udał się w końcu do Czarnego potoku do siostry swej zamężnej Reklewskiej.

W styczniu r. 1864 skierował kroki znów na plac bojów pod komendę generała Józefa Haukego (Bosaka), jako kapelan pułku Olkuskiego. W tym oddziale przebył kilka starć i bitew, stwierdził ranami gorliwe spełnianie obowiązku, poczem wyleczony przedostał się znowu z powrotem do kraju. Pod obcym nazwiskiem ks. Paszyńskiego doktora i profesora św. Teologii w Seminarjum duchownem w Przemyśle, znalazł chwilowy przytułek w Odporyszowie obok Żabna, w domu ks. Stanisława Morgenterna z Krakowa rodem, proboszcza, tytularnego kanonika, posła do Sejmu galicyjskiego. Tutaj został też wraz z swym opiekunem uwięzionym dnia 9 lipca r. 1864 i stawionym przed sąd wojenny w Tarnowie. Znalezione przy nim dekreta nominacyjne generała Bosaka z daty 19 stycznia i 7 marca r. 1864 były dostatecznym dowodem udziału jego w ruchu rewolucyjnym, to też zapadł wyrok potępiający go i skazujący na karę dziesięciomiesięcznego więzienia.

Z tej kary odpisano mu dwa miesiące jako akt łaski cesarskiej, ogłoszony w dniu imienin Franciszka Józefa I.

Ks. Morgenternowi zarzucono brak przeczności przy udzielaniu gościny obcemu przybyszowi w sukni kapłańskiej, a że już przebył trzy tygodnie w śledztwie, wymierzono mu jako karę miast dalszego więzienia, tylko grzywnę w wysokości 30 złr.

### O. Justyn Szaflarski.

Bezpośrednio przed zaprowadzeniem stanu oblężenia i sądów wojennych w Galicji natknął komendant posterunku żandarmerji Swoboda, w domu obywatela Raczyńskiego w Krowicy hołodowskiej obok Lubaczowa na nieznaną mu postać leżącego w łóżku mężczyzny z ogoloną twarzą. Nieznajomy oświadczył żandarmowi, iż jest gwardjanem OO. Bernardynów w Samborze, przybył w te strony po kweście i w drodze zachorował. Na dowód prawdziwości swoich twierdzeń wykazał się kartą legitymacyjną na nazwisko ks. Justyna Szaflarskiego, wystawioną przez urząd powiatowy w Samborze. Stojące obok łóżka leki i leżący na krześle habit, stwierdzały ze swej strony wiarygodność zeznań chorego.

Mimo wszystko niedowierzał żandarm słowom zakonnika, zabrał więc legitymację z sobą i doniósł o odkryciu urzędowi powiatowemu w Niemirowie. Ta ostatnia władza poleciła żandarmerji dalszą ścisłą kontrolę nad nieznajomym, kartę legitymacyjną zaś przesłała w celu agnoskowania do Sambora.

W kilka dni później objeżdżał okolicę adjunkt Födrich i ogłaszał ludności zaprowadzenie stanu oblężenia. Przy sposobności miał bez wyczekiwania rezultatu wdrożonych dochodzeń uwięzić podejrzanego kwestarza, uważanego za jakąś „grubszą rybę”. Jakżeż przykraj doznał atoli niespodzianki, gdy nie znalazł zakonnika na miejscu, a świadkowie stwierdzili, że innich, rzekomo O. Franciszkanin z Królestwa, wyjechał razem z Raczyńskim z Krowicy,

przenocował w Niemirowie, następnie zaś podążał przez Magierów w kierunku Żółkwi, gdzie ślad o nim zaginął.

Rozpoczęły się gorączkowe poszukiwania za zbiegiem i dochodzenia śledcze skierowane głównie przeciw O. Justynowi Szaflarskiemu (ur. r. 1821 w Nowym Targu) podejrzanemu i poszlakowanemu o bezprawne dostarczenie pseudo-kwestarzowi własnej karty legitymacyjnej. Zdobycie dowodów winy nie łatwą było atoli dla Sądu obwodowego w Samborze rzecz. O. Justyn wykazał się atestem znanego nam już prowincjała O. Loetusa Mozlera, iż w kwietniu r. 1863 jeździł na sekundycje O. Romana Józefowicza do Kalwarji i uzyskał w tym celu kartę legitymacyjną. Gdy w ośm miesięcy później wybierał się znów w podróż do Lwowa, a nie mógł odnaleźć pierwotnej swej karty, podjął bez trudności w dniu 19 stycznia r. 1864 w tym samym urzędzie powiatowym w Samborze, drugą legitymację na swoje nazwisko. Jakim sposobem przyszedł ów nieznajomy kwestarz w posiadanie pierwszej z dwóch wymienionych kart, nie umiał ks. Szaflarski wyjaśnić.

Nie dowierzał wprawdzie sędzia śledczy powyższym słowom O. gwardjana samborskiego, był jednak w obec nich bezsilnym. Nie dziw więc, iż biorąc pod uwagę przewinienie „*Bezirksamtu*“ w Samborze, który pozostawił dwie legitymacje w rękę O. Justyna i lekkomyślne umożliwienie ze strony „*Bezirksamtu*“ w Niemirowie ucieczki podejrzanemu kwestarzowi, uważał za praktyczne postawić wniosek na zastanowienie śledztwa.

Tak się też i stało...

Osobę kwestarza pokryła na zawsze głęboka tajemnica.



## IV.

**Udalryka Czyżewiczówna.**

Postępem w ustroju społecznym jest wyrozumiałość, z jaką traktujemy błędy ludzkie przestępstwa, i wykroczenia, postępem jest dążność umoralniania zbrodniarzy, otaczania zwyrodniałych osobników troskliwą opieką, dbałością o ich zdrowie i wygodę w murach więziennych, z drugiej jednak strony nie odpłacamy częstokroć należnym uznaniem, nie odpłacamy podnoszeniem zasług, wdzięcznością tym jednostkom, które poza spełnianiem zwykłych obowiązków zawodowych, poświęcają swe siły bezinteresownie, oddają nieraz do usług całe swoje jestestwo dla dobra współbliźnich, dla dobra ogółu, dla dobra Ojczyzny.

Ileż to setek, ile tysięcy prawdziwie zasłużonych ludzi drzemie zapomnianych w głębinach mogilnych, gdyż obowiązany do wdzięczności potomkom nie przekazano nawet ich imion, nie przekazano ich czynów ku zachowaniu pamięci.

Miast granitowych pomników widnieją, zda się, nad grobem ich zimne słowa:

„Murzyn spełnił swoją powinność, murzyn może odejść“.

Tego rodzaju refleksje nasuwają się nam zawsze, na widok stosów butwiejących aktów z epoki politycznych spisków i procesów, z epoki półtorawiekowej martyrologii narodu naszego.

Sięgamy ręką do jednego z takich stosów, chwytamy pierwszy z brzegu zwój papierów i oto natrafiamy np. na nieznane, okryte pyłem niepamięci, a godne uwiecznienia nazwisko szlachetnej córki narodu — szermierki o wolność Polski.

Była nią Udalryka Czyżewiczówna, córka Stanisława, urzędnika Inspektoratu skarbowego w Krakowie, rodem z Krosna, wieku lat 28,

odstawiona z więzienia policyjnego do Sądu wojennego 10 maja r. 1864 pod zarzutem pełnienia służby kurjerki pomiędzy poszczególnymi oddziałami powstańczymi, ponadto pod zarzutem wykonywania obowiązków agentki Rządu narodowego, uwalniania z pod kluczków więźniów politycznych, dopomagania im do ucieczki, odbycia podróży do Preszowej (Eperies) dla wydobycia od rodziny Bornemissów funduszków do wykupna z rąk rosyjskich, przeznaczonego na Sybir, syna ich Adama, kapitana powstańców, w końcu pod zarzutem czterokrotnych podróży w Poznańskie i związków z wybitnymi członkami konspiracji.

Dowodów winy dostarczyły władzom austriackim znalezione przy rewizji listy i dokumenta, spisy powstańców, legitymacja, pokwitowania kwot zebranych na cele narodowe, mapa Polski itp.

Jak potężnym był udział Czyżewiczówny w łonie organizacji, stwierdzają zakwestjonowane listy, z których przytaczamy poszczególne interesujące ustępy.

„Kochana Pani!“ — czytamy w liście z daty 26 czerwca r. 1863 — „List ostatni, w którym było wspomnienie o wywiezieniu więźniów i exekucji dopełnionej nad księdzem i cywilnym, zdaje się, żeś Pani nie odebrała, bo w nim znów była zmiana adresu pod jakim odbierać miałam „Czas“ — dziś znów nie w Częstochowie, lecz w Warszawie. Proszę Panią bardzo, aby przy zachowaniu poprzednich formalności na kopercie, w której będzie „Czas“ były wyrazy: *„An Herrn Johann Gintsohn zu Warschau, poste restante“*. Ten pan w okularach ciemnych niezrównanie jest wdzięczny za łaskawą pamięć. Chciej Droga Pani powiedzieć Stanisławowi Dymidowiczowi, aby p. S. Wojczyńskiego uprzejmie uściskał od osoby w czarnych okularach... Ucieszyłam się niesłychanie po przeczytaniu ostatniego listu, że tak cudownie Nasi uśli. Jesteś prawdziwym

Aniołem, nie wyjeżdżaj więc z Krakowa, nie opuszczaj braci naszych; jesteś im bardzo potrzebna.

W obozie kobiety, które tam są, są bardzo źle uważane. Zakonnice jedne tylko mogą się tam znajdować, ale nie my... W Cytadeli, na odwachu pięć kobiet siedzi, wzięte z pola bitwy. Co z nimi zrobią, niewiem. Ks. Drewnowski jeszcze nie wywieziony, zdaje się, że wkrótce wyjedzie... Staram się o widzenie; wątpię czy otrzymam pozwolenie, wielkie trudności robią. Z Borkow... raz się tylko od wyjazdu Pani, widziałam w Cytadeli... Pani Grabowska ślicznie Pani dziękuje za pamięć...

Szczera przyjaciółka *Emilia*“.

„Smutno mi się zrobiło“ — opiewa drugi list bez daty — „że w Krakowie znajdują się ludzie bez serca, bez współczucia, egoiści; że i tam nasi bracia cierpią. Jesteś więc, Kochana Pani, jak Anioł opiekuńczy dla nich... Dnia 11 czerwca w pół do siódmej z południa przy ulicy Królewskiej ustawiono już dwa słupy telegraficzne, a każdy z nich ma po 9 dzwonek — porcelanowych. W dniu 10 czerwca wykrytem zostało, iż w Komisji skarbu, z głównej kasy Kongresówki, zabranem zostało 30 milionów złp. na cele krajowe. Niektórzy twierdzą, że nie na cel narodowy, tylko mieli ukraść Moskałę, albo Mierosławski.

Nie pisz Pani, pan Julian, tylko ten pan w okularach. Bardzo dużo jest szpiegów, utworzonych przez szyszmę z kobiet i mężczyzn, tak w Krakowie, jak i w całej Kongresówce“.

„Łaskawa Pani“ — opiewa list z 6 stycznia 1864 — „Zmartwiliśmy się bardzo, że Władysława dalej posłano, ale prawdę mówiąc, spodziewałem się tego, że wszystkie wasze zabiegi będą daremne. Stosownie do życzenia Pani posyłam 300 fl. oblig., a dałem 2 obligacje swoje, bo Władysława dotąd bez kuponów...

*Felix*“.

„Łaskawa Pani“ — brzmi drugie pismo z tej samej daty — „Stosownie do polecenia pani Strzeszkowskiej posyłam na ręce Pani dla Niej 300 zł. obligacjami indemn. z kuponami. Nie wiem jednak, jak i czy Pani za granicę się dostanie przy teraźniejszych utrudnieniach przejazdów, jakie podobno zaprowadzono. Pani Strzeszkowska, czyli Pierszchalina będzie zapewne już w Radomiu, bo z Kielc musiała wyjechać. Łączę wyrazy poważania.

*Jarocki.*“

„Kochana Pani“ — pisze z Kielc *Zofia Fanty* pod datą 25 stycznia 1864 — „Znając pocziwe serduszko Pani dla biednych braci naszych i Jej współczucie, donoszę, że wszystkich trzech protegowanych, wczoraj wyprawili z partją do Radomia, pomimo silnych starań, jakie się robiło. Ich wymarsz był tak nagle zdecydowany, że zaledwie mogliśmy ich dogonić, aby po raz ostatni pożegnać się. Był to widok okropny; krew ścina się na wspomnienie obojętności familii tego szlachetnego młodzieńca. Czy nie miała Pani wiadomości z Eperies od rodziców p. Adama?“

Pod datą 6 lutego 1864 zwraca się *Felicja N.* do Czyżewiczówny z słowami: „...Zapewnie pamiętać Pani musisz na jakich warunkach mąż mój i radca mają być zupełnie wolni, tj. zapłaciwszy kontrybucji rubli 1000 razem. A na to zkąd fundusz? Udaję się do Kochanej Pani, poratuj nas, i wydobądź z tej biedy. Mąż mój, kiedy wydobywał z więzienia tego pana, nie znał go zupełnie. Ręczył majątkiem i osobą, bo tego koniecznie wymagano, a także prosił radcę od siebie o poręczenie. Za cóż ten biedny człowiek ma taką karę ponosić? Moja dobra Pani, zajmij się interesem, aby dobry skutek mógł nastąpić. Znieś się dobra Pani z p. Smagłow (skim), udaj się Pani do p. Mieczysława (Pawlikowskiego?), który już zapewne wolny być musi, a oni niech nas ratują. Wszak p. Miecz.

był sprężyną do tego, niech on wejdzie w nasze położenie i niech da środek zapobieżenia naszemu upadkowi majątkowemu, bo zapłacenie powtórnej kontrybucji i różne inne podatki i ofiary grożą nam całkowitą ruiną.“

List bez podpisu z daty 13 lutego 1864. „Potrzeba zmienić adres „Chwili“ już nie Mademoiselle I. Comt. Louise Mixel à Varsovie lecz S. Excellence Ms. le Comte Nesselrode à Varsovie... A mnie staremu w czarnych okularach niech będzie wolno uściskać spracowane rączki Pani sprawą świętą naszą.“

Znowu notatka od *Emilii* z datą 11 kwietnia 1864. „Przemiana nazwisk na kopertach jest nieodzowna. „Czas“ wysyłać już nie pod adresem le comte Nesselrode, ale Imci Pan Tajbelson przy ulicy Franciszkańskiej w Warszawie“.

Dość chyba dowodów było dla organów sądu wojennego do wydania wyroku potępiającego, którym skazano, pod datą 1 lipca r. 1864, Czyżewiczównę za zbrodnię zakłócenia spokoju publicznego na 14 miesięcy więzienia. Rekurs przyniósł jej obniżenie kary o miesiące dwa. Stan zdrowia począł rychło szwankować. I nic dziwnego, wszakże już z chwilą uwięzienia stwierdził u niej lekarz sądowy objawy organicznej wady serca i oświadczył w swem orzeczeniu, iż obwiniona nie nadaje się wobec tego do chłosty różgami.

Spędzała więc wśród mitręgi ciężkie dnie w murach kaziennych, zanim orzeczenie z 11 stycznia 1865 przyniosło jej wolność.

Pozostało przytem poczucie spełnionego obowiązku, wspomnienie przebytych cierpień za Ojczyznę.

## V.

## Przed pół wiekiem w koszarach Lwowa.

(Moje wspomnienia.)

Pół wieku upływa właśnie od chwili, kiedy reorganizując armię, zaprowadziły Austro-Węgry, ogólną służbę wojskową i instytucję jednorocznych ochotników, jako posiew rezerwowych oficerów. Społeczeństwo polskie zapatrywało się różnie na ten nowy ustrój pruskiego pomysłu. Jedni patrzyli, w myśl tradycji ojców i dziadów, niechętnie na „c. k. oficerów“, inni witali z zadowoleniem nowość, przepowiadali, i słusznie, iż nadejdzie czas, w którym wyszkoleni w austriackiej armii Polacy, będą mogli zużytkować godnie swą wiedzę dla dobra Ojczyzny.

Młodzieży przypadała do gustu innowacja, nadzieja zdobycia szlif oficerskich wśród udogodnień i ułatwień, do jakich należała możność mieszkania poza obrębem koszar, a co główna możność równoczesnego uczęszczania na uniwersytet.

Wśród pierwszych serji ochotników wiedli we Lwowie prym dorodni i zasobni młodzieńcy: Zbigniew Zadora z Brzezia, hr. Lanckoroński właściciel Tartakowa i Aleksander Nałęcz Udrycki z Mostów wielkich. Służyli obaj przy huzarach, i jako dzielni kawalerzyści zwracali na siebie uwagę strojem i postawą. Do dalszych znanych w szerszych kołach ochotników należeli Gustaw Mauthner (późniejszy szef biura prezydjalnego w Namietnictwie, o którym krążyły fałszywe wieści, iż jako oficer poległ w czasie okupacji Bośni i Hercegowiny przez wojska austriackie, Edward Sumper-Solański (dr. praw, radca sądu, adwokat krajowy) zmarły w r. 1918 na wygnaniu w Kijowie, Adolf Mussil

de Mussilau, (chemik sądowy) zmarły w r. 1914 po wkroczeniu wojsk rosyjskich do Lwowa i Hugo Królikowski (sędzia, radca dworu, poseł do Rady państwa) zamordowany, jako rezerwowy major wojsk austriackich, przez Rosjan r. 1915, w czasie odwrotu z pod Przemyśla.

W czwartej serji „jednoroczników“ przypadł mnie, słuchaczowi trzeciego roku wydziału prawniczego, obowiązek służby wojskowej z prawem wyboru broni i oddziału. Wstąpiłem do 77-go (samborskiego) pułku piechoty, wybrałem zaś w celu czynnej służby pułk 80-ty (złoczowski) konsystujący wówczas we Lwowie w t. z. Wielkich koszarach przy ulicy Zamarynowskiej. Był to pułk najbardziej poszukiwany przez młodzież lwowską, preferowany po nad pułk 30-ty (lwowskie dzieci) a to wskutek dobrej opinii, jakiej zażywał komendant-pułkownik Józef Heinold (późniejszy generał — ojciec znanego ministra austriackiego) nie tylko wśród sfer wojskowych, lecz także i wśród cywilnej ludności.

O wczesnej porannej godzinie 1 października r. 1872 przy lekkim opadzie mgły, unoszącej się z pobliskiej Pełtwi po nad placem Misjonarskim, zebrało się nas przeszło 70 ochotników i rozpoczęło nieznane dotychczas obowiązki. Byli to sami akademicy, z których przeważna część zajęła później poczesne miejsca w społeczeństwie. O ile ma pamiętać sięga obejmowała lista kolegów broni między innymi, w porządku abecadłowym nazwiska: Karol Argasiński (radca apelacyjny), Michał Babiarz (inspektor kolejowy), Włodzimierz Bilinkiewicz, Józef Białynia Chołodecki (naczelný dyrektor lzb. obr. literat i publicysta), Michał Chyliński (redaktor), Leon Cieliński (prof. szkół średnich), Adolf Czerwiński (prezydent apelacji, tajny radca), Antoni Dołżycki (prof. gimn.), Jakób Fruchtmann (dr. praw, adwokat, dyrektor Banku hipot.) zabity złamaną kulą ukraińską w czasie walk we Lwowie, Aleksander Haydecki (szta-

bowy oficer-audytor, literat), Hilary Hołubowicz (prof. szkół średnich), Ludwik Hübl (radca sądowy), Mikołaj Jakóbowski, pierwszy jednoroczny ochotnik-dezerter, zbiegły do Akademii prawosławnej w Chełmie, Apolinary Jasienicki (radca sądowy), Wilhelm Jonasz (radca sądowy), Jan Kilian (prezydent sądu), Kazimierz Łuczkiewicz (dr. praw. st. radca-adwokat), Kajetan Łukasiewicz (ziemianin), Gustaw Neumann (skarbowy radca dworu), Władysław Neusser (radca rachunkowy), Antym Kotwica-Nikorowicz (dyrektor Kasy oszczędności), Roman Palmstein (profesor szkół średnich, radca), Mieczysław Zadora Paszkudzki (właściciel ziemski, urzędnik polityczny, działacz społeczny), Bronisław Roch Pierzchała (inspektor kolejowy), N. Płoszewski, Tadeusz Pragłowski (radca sądowy), Kazimierz Rudnicki (ziemianin), N. Schuhmacher, Karol Słoński (kontrolor poczt.), Bożomir Stachowski (inżynier w Władywostaku), Ryszard Stypek, Mikołaj Treszkiewicz (radca sądowy), Adolf Walc (inspektor kolejowy), Rudolf Weinert (inspektor kolejowy), Atanazy Zajączkowski (skarbowy radca dworu) itd.

Na czele generalatu wschodniej Galicji stał Erwin Neipperg, uksiążęcony hrabia, koligat panującego domu Austro-Węgier, wyniosły, surowy, bezwzględny przełożony, postrach wielu oficerów. Mało kto zdołał wytrzymać przenikliwy wzrok jego, a kto wytrzymał, zdobywał jego sympatię. Z zadowoleniem powitało lwowskie społeczeństwo wiadomość o powołaniu go, pod koniec życia, na stanowisko kapłana cesarskiej gwardji łuczników w Wiedniu.

Zastępcą Neipperga był generał Józef baron Dormus-Kilianhausen, zapisany dobrze tak u panującego dworu jak i wśród naszego społeczeństwa. Synowie jego uważali się za Polaków.

Liczne opowieści i anegdoty krążyły na temat dowódcy dywizji generała Oliwera hr. Wallisa, barona na Caringhmeinie, protegowanego



nego Habsburgów. Długi pobyt w Galicji i ożenienie z Polką z domu Szymanowskich usposobiły go przychylnie dla kraju. W czasie powstania styczniowego nie wahał się zwiedzać obozu generała Antoniego Jeziorańskiego pod Kobylanką, podkomendni huzarzy jego zaś zwykli byli dopomagać do ucieczki, pochwytanym przez patrole partyzantom. Mianowany po zaprowadzeniu stanu oblężenia (r. 1864) naczelnikiem okręgu rzeszowskiego, zajmował się więcej, aniżeli sprawami politycznymi, porządkami w mieście, gdzie z punktu sanitarnego trzymał w karchach niechlujną ludność żydowską. Porywczy, popadał łatwo w konflikt, a wobec żydów nie przebierał w środkach, rozdzielał szpicrutą plagi każdemu, który mu nie ustąpił z drogi, lub co gorsza obserwował, przechodząc ulicą, jego wąsy, zdefigurowane wskutek blizny na twarzy, pozostałej po niefortunnym pojedynku. Dla żołnierzy był życzliwie usposobionym, to też i przez nich lubianym, zwłaszcza, gdy im opowiadał bajeczki w koślawionym niemiłosiernie polskim języku, o owych 25 „sztoksztrajchach“ jakie on — „graf Wallis“ odbierał jako żołnierz za złą defiladę przed komendantem.

— A ty durny chłop, co...? — konkludował nakazując trzymać się ostro przy defiladzie przed „komenderującym generałem Erlaucht-Neipperg“.

Kontrastem powyższych dygnitarzy był wspomniany poprzednio pułkownik Józef Heintold. Wątlej postaci, o cienkim głosie, wskutek odniesionej w bitwie rany w szyję, objawiał na każdym kroku wyższy umysł i szlachetne serce. Interesował się on żywo losem jednorocznych ochotników i postępami w nauce, odwiedzał od czasu do czasu plac ćwiczeń i salę wykładową, wypytywał się o szczegóły i postępy w nauce, powtarzał przytem ulubione swe zdanie, iż „młodzieży potrzeba powietrza i światła“. Na półroczny nasz egzamin sprosił

całe grono oficerskie, o ile było wolne od służby, twierdził, że i oficerowie mogą przytem skorzystać dla wzbogacenia swej wiedzy. Niebawem został powołanym na stanowisko brygadiera, a miejsce jego zajął odmiennego typu komendant, pułkownik Józef Manngold, którego ojciec, kapitan, zwał się, jak twierdzono pierwotnie Goldmannem, a dopiero po przyjęciu wiary chrześcijańskiej zmienił nazwisko przez przedstawienie głosek. Manngold, ożeniony z Polką, właścicielką znanej w krwawych wypadkach r. 1846 włości Horožany, był typem marsowego żołnierza. Wydatnego wzrostu i tuszy, o olbrzymich, sumiastych wąsach, z wygiętą, na wzór karabeli, szablą, wyborny jeździec, toczył z brawurą koniem po przed frontem, gdy zaś spał rumaka ostrogami, gdy pędził wyciągniętym galopem, by złożyć raport przełożonemu, a wasy jego niby dwie miotły, fruwały w powietrzu, przedstawiał zjawisko, godne pędzla malarza. Jako przełożony nie był atoli lubianym, to też nie asystowali mu po promenadzie podkomendni, z wyjątkiem jednego podporucznika, oficera prowiantów Karola Walki.

Podpułkownikiem był Albin Kövess de Kovesshaza. Nazwisko to zasłynęło później na widowni dziejów w czasie ofensywy wojsk austriackich przeciw Serbom. Korpus niższych stopni oficerów składał się z Niemców, Czechów, Chorwatów i wydatnego procentu Polaków, którzy tworzyli zwartą grupę, posługiwali się w towarzyskiej rozmowie ojczystym językiem i zwani byli przez swych obcoplemiennych kolegów „die polnischen Schlachtzigen“. Prym wiedli między nimi kapitanowie, późniejsi pułkownicy, Mieczysław Trzaskakotowski, zrodzony z bar. Brudnickiej, Józef Boniewski, tudzież porucznik Feliks Rola Kłoszowski, adjutant pułku. Obok nich grupowali się kapitanowie Aleksander Sienkiewicz, Józef Bąkowski, Seweryn Waydowski, August Bończa Osmólski, Klemens Bielecki, porucznicy

Szymon Baczewski, Roman Gutowski, Franciszek Kucharski. Aleksander Krawczykiewicz, syn cenionego ogólnie więźnia politycznego i dyrektora Kasy oszczędności we Lwowie, (zwany przez nierozumiejących brzmienia nazwiska Niemców „Graf Czykiewicz“), dalej podporucznik Leon Gregorowicz (późniejszy generał) i kadeci zastępcy oficerów Karol Krauss (późniejszy podpułkownik, wywieziony w r. 1914 przez Rosjan ze Lwowa do Kijowa), Józef Klein (zmarł jako kapitan w niewoli w Kijowie r. 1917), Edward Janusz (później właściciel zakładu fotograficznego w Rzeszowie), Leon Wikarski (ziemianin dzierżawca włości Lackie obok Złoczowa), Ferdynand Wysocki (późniejszy dyrektor urzędu loteryjnego we Lwowie) itd.

Smutnym był koniec zastępcy oficera Antoniego Schumana, potomka mieszczańskiej rodziny Lwowa. Tyran wobec podkomendnych, hardy i wyniosły wobec kolegów, impertynent i arogant wobec cywilnej ludności, odziedziczywszy po ojcu kilkadziesiąt tysięcy złr. przeniósł się do kawalerji. Tam wiódł życie hulaszce, stracił rychło kapitalik, popadł w długi, dopuszczał się czynów niehonorowych, musiał kwitować, spadał coraz niżej, wyciągał rękę po jałmużnę, ostatecznie w towarzystwie szumowin społeczeństwa spalił się w swem legowisku, wśród stert siana wojskowego dostawcy Józefa Rosnera za rogatek Janowską, podczas pożaru, jaki wybuchł 17 stycznia r. 1886.

Komendantem oddziału jednorocznych ochotników był kapitan (późniejszy pułkownik) Henryk Probst, instruktorami podporucznicy Jan Pohl i Jerzy Matzinger tudzież zastępca oficera Józef Felsner człowiek rubaszny, lecz w gruncie rzeczy niezły.

Po ukończeniu elementów praktycznych ćwiczeń, przekształceni z rekrutów w żołnierzy podzieliliśmy się na dwie grupy. Drobną część zgłosiła się do służby w oddziałach prowian-

towych, ogół przeszedł do szkoły teoretycznych wykładów, połączonych z praktycznymi ćwiczeniami i służbą wartowniczą bądź to na głównym odwachu, bądź na innych posterunkach. Nie bez wrażenia zaciągnęliśmy wartę w domu karnym „Brygidek“, mieszczącym w sobie tysiąc kilkaset pospolitych zbrodniarzy, wśród nich, w oddzielnym kurytarzu, pobrękujących kajdanami t. z. „festunkowych“ kryminalistów. Chcąc poznać wnętrze, ustrój zakładu karnego, krążyliśmy patrolami częściej i liczniej, aniżeli to było przepisaniem, surowym, zresztą, regulaminem. Nazajutrz w obiadowej porze wyłonił się wśród więźniów bunt z powodu złego wikt. Zażegnaliśmy go, atoli tylko chwilowo. Po zdaniu przez nas wart powstały na nowo rozruchy i znalazły epilog w zastrzeleniu jednego, a zranieniu drugiego z zrewoltowanych osobników.

Z inteligencji, jaka pokutowała wówczas za grzechy w Zakładzie Brygidek utkwily mi w pamięci postacie jakiegoś barona rosyjskiego, fałszerza weksli czy banknotów, dalej pocztmistrza-defraudanta, niemniej niezwykle sprytnego oszusta, kontrolora loteryjnego T... K... którzy w pozozumieniu z dwoma innymi sprawcami wygrywał podstępnie wysokie na loterii terna i kwinterna. Seniorem niejako kryminalistów był adwokat Such..., który większą część życia swego przepędził w Brygidkach za fałszowanie stempli, następnie za współudział w zamordowaniu księdza. W celi więziennej tłumaczył umiejętnie z niemieckiego prawnicze podręczniki dla firmy antykwarza Bodeka, a gdy Bodek, jako wydawca, wzbraniał się następnie uiścić umówione honorarium, doniósł o istnieniu w jego domu tajnej drukarni. Nałożona fiskalna grzywna zrujnowała Bodeka.

Po złożeniu półrocznego egzaminu zostaliśmy awansowani w miarę klasyfikacji, jedni na kaprali, drudzy na gefrejtrów i rozpoczęli ćwiczenia w strzelaniu do tarcz ostremi nabo-

jami. Wielu z nas, wychowanych na wsi, uprawiało od dawna sport myśliwski, było obznajomionych z flintą, to też awansowaliśmy szybko na wojskowej strzelnicy w kierunku zdobycia odznak strzelców pierwszej klasy. Obudziło to podejrzenie wśród oficerów: na kontrolę przybył generał-brygadjer. Między innymi powołał i mnie do produkcji pod jego okiem. Byłem przekonany, że pod wpływem emocji spudłuję. Stało się przeciwnie. Tarcza zamarkowała centrum; wyszedłem zwycięsko.

Nadeszły letnie miesiące, epoka forsownych ćwiczeń w polu, wśród kurzu i upałów, równocześnie epoka nauki do egzaminu oficerskiego.

Bezpośrednio przed dopuszczeniem do popisu defilowaliśmy po jednym przed grotem oficerów, które orzekało następnie, czy uznaje nas godnymi stopnia oficerskiego. Z Wiednia przyszło tymczasem polecenie ostrej klasyfikacji, tak przy teoretycznych, jak i praktycznych popisach; zmieniono więc system egzaminów, który polegał na losowaniu kartek z gotowymi pytaniami, i poczęto, obok wyciągniętych pytań, zadawać ustne zagadnienia. Radziliśmy sobie jak każdy mógł i zdołał, i wobec krzyżowego ognia wygłaszali bez długiego namysłu zdania, nie dając członkom komisji wiele czasu do zastanowienia się nad naszymi odpowiedziami. Z tem wszystkiem zdołało zaledwie 15 nas — na 116 ochotników lwowskiego garnizonu — uzyskać w pierwszym roku pomyślną kwalifikację. Reszta albo została reprobowaną, albo odłożyła egzamin do następnego roku, lub też zupełnie zrezygnowała z szlif oficerskich.

W cztery lata później odbywałem jako podporucznik ćwiczenia broni przy tym samym 80 pułku piechoty, wśród tego samego prawie grona oficerów — Polaków, a dopiero przy awansie na porucznika przydzielono mnie do 75 (radowieckiego) batalionu obrony krajowej,

złożonego z żołnierzy: Rumunów, Rusinów, Węgrów, Niemców i Słowaków, oficerów zaś niemieckiej narodowości.

\* \* \*

Dnia 17 czerwca r. 1919 odbyła się w Wielkich koszarach przy ulicy Zamarszynowskiej uroczystość otwarcia „Świetlicy“ dla żołnierza polskiego. Wzięli w niej udział: dowódca okręgu generał Emil Gołogórski, komendant placu pułkownik Maksymilian Linda, i liczni oficerowie jako delegaci poszczególnych formacji i oddziałów, konsystujących we Lwowie. Program uroczystości objął między innymi punktem, mój odczyt — z ramienia Uniwersytetu żołnierskiego — na temat dziejów miejsca, na którym mieszczą się Wielkie koszary i sąsiadujące budynki wojskowe. Gdyśmy na zakończenie uroczystości weszli do wnętrza „Świetlicy“ znalazłem się w tej samej sali, w której słuchałem ongi wykładów wojskowych.

Czyż mogłem przypuszczać kiedy, iż w półwiekową rocznicę istnienia instytucji jednorocznych ochotników, będzie wśród murów dawnej ich uczelni spływać światło wiedzy na żołnierzy wolnej, niepodległej, zjednoczonej Polski!...

W lipcu r. 1920 zaroily się mury Wielkich koszar od dziarskiej młodzieży Małopolskich oddziałów ochotniczych brygadiera Czesława Mączyńskiego, dążących przeciw nawale bolszewików, w obronie kresów wschodnich, w obronie wieńczonego cierniową koroną Lwa-grodu.

Nie bez wzruszenia śpieszyłem wtedy do gmachu koszarowego, by odwiedzić najmłodszego syna Olgierda, który, aczkolwiek głuchoniemy, chwycił wraz z kilku kolegami za oręż, i odziany w mundur Hallerczyka z odznaką „orlą“ na piersi szedł w bój pod hasłem: „Nie damy ziemi, zkađ nasz ród!“...



